



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

TEORYA I PRAKTYKA

W ZAWODZIE NAUCZYCIELSKIM.

(Dalszy ciąg).

Edward Hückell w swoim *Rysie pedagogiki*¹⁾, ze szkoda czytającej publiczności cawno już wyczerpanym, sprzecza się z poglądami pedagogiki nowoczesnej pod względem wychowywania kobiecego, wychowywania tak matki, jak nauczycielki, właśnie ze względu tego działania na uczucie dziecka, które nowa szkoła podnosi, a w którym on widzi wielkie niebezpieczeństwo dla przyszłego charakteru wychowanka. Dziecku, prowadzonemu głównie przez uczucie, grozi w jego przekonaniu brak wyrobienia zasad i rozumowej podstawy działania, brak stałości wewnętrznej, której otrzymać nie można na tej drodze, gdy uczucie wzruszeniami wstrząsane jest głównym bodźcem czynów dziecka a działanie umysłu: rozważa i myśl o obowiązku, na bok usunięte zostają. Ale zarzut ten, bardzo w zasadzie swej słuszny, odnosić się może jedynie do wychowania prowadzonego jednostronnie, gdy przewodnicząca mu osoba całości zadania wychowawczego niepojmując, jedynie przez uczucie chce go prowadzić, i to nawet już wtedy, skoro młody umysł praw się swoich kształcenia dopomina. Hückell ma słuszność najwyższą, gdy utrzymuje, że człowiek powinien się kierować przekonaniem,

na pojęciu obowiązku wyrobionem a rozjaśnionem wiadomością złego i dobrego, świadomością stosunku swego do świata i ludzi — ale jedno nie tylko drugiemu nie przeszkadza, ale przeciwnie jedno drugiemu dopomaga, jedno się przez drugie dopełnia. Jak dowodzi on, że „nauka, która uprawia umysł przez studia historyczne, przyrodnicze i filozoficzne“, powinna być jednym ze środków wychowawczych w zakresie moralnego kształcenia, tak samo powinno się tu uczynić „jednym ze środków wychowawczych“ rozwój uczuciowości, który wyrabia w nas siły serdeczne: zdolność kochania, ofiary, moc zapалу, porywającego dalej i wyżej, niż jakakolwiek zasada rozumowa. Tylko, trzymając się wskazówek natury, trzeba sobie te działania wychowawcze uporządkować i zaczynać od edukacji uczucia, które się pierwiej od rozumujących władz umysłu w dziecku budzi, rozszerzać czynność swą z wolna przez zwracanie się do tamtych w czasie właściwym. Niewątpliwie tylko rozum dobrze kierowany, może otworzyć dziecku pewną znajomość stosunków ludzkich, może mu wykazać, że otoczenie, w którym żyje, jest ułamkiem wielkiej całości, a ono samo jedną z tysięcy tysięcy istot, żyjących na świecie, co jest rzeczą konieczną, aby rozbudziło się w niem poczucie potrzeby szarmonizowania się z ogółem, urobienia się do praw moralnych, rządzących ludzkością. Ale jest to już szczybel kształcenia drugi, lecz nawet i wtedy, gdy się działanie wychowawcze na niego posunie, nie można poprzednio rozpoczętej akcji mimo puścić, lecz jedynie na przygotowanym gruncie uczucia pojęcie obowiązku szyć, powołując się, dla umocnienia go, na budzący się teraz rozum dziecka. „Nie czyni drugiemu, co tobie niemiło“. „Nie czyni tego, co nie chcesz, aby tobie czyniono“, a nawet: „Kochaj bliźniego twego jak siebie samego“, wszystko to są zasady tej moralności rozumowej, pozytywnej, która opierając się z jednej strony na sprawiedliwości, z drugiej na solidarności, jaka ludzi wiąże

między sobą, wykazuje potrzebę porządku, ładu, harmonii służącej tak za podstawę spokoju, dobrobytu i postępu cywilizacyjnego, że ten, kto to narusza, kto tu zaburzenie wprowadza, czy przez egoizm ciasno pojęty, czy przez samowolę zuchwałą, staje się względem bliźnich swoich winowajcą i jako zły członek rodziny ludzkiej ponosi karę, moralnie czy materyalnie nań wywartą. Ale jest inna jeszcze, wyższa moralność, która dobro dla dobra, prawdę dla prawdy, dla jej blasku i czystości kochać każe, która duchy uświęca i podnosi, daje człowiekowi miłości wyższe niż samego siebie: uczy ofiary i bohaterstwa, katakumby prochami świętych zapęlnia. Ta-to moralność, stająca się cnotą wzniosłą w duszy, którą z mętów życia oczyszcza i nad jego małości dźwiga, rodzi się przede wszystkim z gorących serca uderzeń, powstaje na gruncie szlachetnie rozwiniętej uczuciowości i dlatego też moralne kształcenie dziecka na zasadzie uczucia zawsze było i jest niezbędną wychowania potrzebą. Że obok miłości dla cnoty, zapалу dla dobra, stawiać należy młodemu umysłowi tuż zaraz wysokie pojęcie obowiązku, jest rzeczą niezaprzeczoną, co przecież doskonale ze sobą się godzi, skoro tylko cnotę uczynimy w pojęciach dziecka szlachetnym człowieka obowiązkiem. Że przez ideę obowiązku, silnie w dziecko wszczepioną, nadaje się charakterowi hart i wyrabia się to, co Hückell stałością wewnętrzną nazywa, wątpliwości nie ulega, bo gdy rzecz, od uczucia i jego wrażeń zależna, podlegać może a nawet musi uczucia tego falowaniom, obowiązek stoi niewzruszony jak mur, jest opoką niezachwianą. Obowiązek złamany to już nieprawość, bo prawa, świętego dla nas, nadwężenie, niedopisanie uczucia, to tylko niedobór moralny. Dobro więc, do którego dziecku przez uczucie się skłonić, które dziecku przez uczucie ukochać trzeba, należy mu następnie pełnić przez pojęcie obowiązku i za wezwaniem sumienia, i skoro tylko wychowanie taką drogą moralne kształcenie dziecka prowadzić po-

1) Rys pedagogii, napisał Edward Hückell, professor gimn. w Drohobyczu—nakład gminy miasta Drohobycza, Lwów, 1868 r.

trafi, cel niezawodnie osiągnięty zostanie. Uczucie, ta życia pierwsza siła i zasada, nigdy wtedy życiu temu obrażym kamieniem się nie stanie, nigdy słabością jego nie będzie, chwiejności w czynny, niemocy w ducha nie wprowadzi, a tylko wielkim motorem, podniętą, przez nic nie zastąpioną, rozgrzewającym zapalem w istnieniu naszym się wykaże.

Gdy się raz na to zgodzimy, gdy osoba wychowująca, odrzuciwszy obawy, jakie się w niej pod tym względem budzić mogły, postanowi ostatecznie pierwsze moralne dziecka wyrabianie za pośrednictwem uczucia prowadzić, trzeba jej jeszcze dla uniknięcia błędów i szkodliwych omyłek, szukać starannie środków, któreby dobrze założeniu jej odpowiadały. Jak w dziecku młodem tliwość serca na dane przedmioty zwrócić i otrzymać ją dla nich, jak zmysł moralny rozbudzić? Z litością, z uczuciem miłosierdzia najłatwiej idzie i należy też zaczynać od tych cnót najprostszych, najnaturalniejszych, bo zaród ich tkwi mniej lub więcej w każdej piersi człowieka, ale się trzeba coraz dalej posuwać, trzeba umiłowanie dobra przez ukazanie jego piękności pozyskać, zachwycić niem serce młode, uderzając razem i na wyobraźnię, którą tu w pomoc wezwać trzeba, aby nierozumujący jeszcze umysł przez tę drugą, już obudzoną władzę zainteresować i zajęcie potrzebne dla celów swoich w ten sposób otrzymać. Pierwsze takie działania edukacji moralnej należy rozpocząć przy codziennych życia wypadkach i przez nie, na ich przykładach wprowadzać w umysł dziecka pierwsze pojęcie dobra, cnoty, co powinno w postępie kształcenia etycznego wspomagać, oile się da, cnoty praktykę i gruntując się przez to cnoty nawiąknienia. Prawdziwie dobrze może się chować dziecko tylko w otoczeniu dobrem i szlachetnym, wśród ludzi uczciwych, atmosfery czystej, wśród takiej np. jak wspomniana już rodzina, we wstępie do *Poganki* przez Żmichowską odmalowana: wśród rodziny kochającej, wśród rodziny sprawie dliwej, wśród rodziny nieegoistycznej. Rodzice, w najwyższym stopniu dbać o to powinni, aby tak było: w wyborze stosunków swoich, służby, mając to zawsze na względzie najpierwszym, aby dziecko zżywało się z dobrem, a przez zarazę złego dotknięciem nie zostało. Ale żywe życie nie zawsze się da tak układać jak chcemy; wypadki, okoliczności miejsce swoje mieć tu muszą, a wtedy nawet, gdy ognisko domowe najdoskonalszy pierwowzór dobra przedstawia, nie można dziecka szczerze w niem zamykać, więc z konieczności musi się ono ze złem jakimś spotkać, zobaczyć i usłyszeć, że jest na świecie samolubstwo, niemiłosierdzie, hardość pyszna, oschłość serca i chciwość, drapieżność nawet. Życie ma i mieć musi światło i cienie swoje, których dziecku tak ręką zasłonić nie podobna, jak niepodobna zasłonić mu ręką słońca. Wychowanie tylko może i powinno robić nad dziecinstwem, nad młodością niewinną namiot od skwarów słonecznych osłaniający: taki, który jaskrawość jego przycienia, który spieki upału i jego posuchy nie dopuszcza, nie daje jej uderzać na organizm jeszcze delikatny, wszystkich sił, wszystkich władz oporu niemający, nierozwinięty, więc do walki nieusposobiony. Jest taka wiedza złego, są takie strony ludzkiego zepsucia, których dziecko bez śmiertelnej dla młodego ducha szkody poznać nie może, nie powinno, bo w najmniej szkodliwym razie zabierają one młodości jej najśłodsze i najwdzięczniejsze przywileje: świeżość uczuć, niewinność myśli, urok życia rajski — poezją. Ale ze złem pewnem dziecko spotkać się musi nieodzownie, tak w domu, choćby tylko przez domu tego nieuniknione zetknięcie z rozmaitymi ludźmi, jak też za domem: w szkole, więc też i wiedzy złego nie można całkowicie z moralnej edukacji dziecka wykasować. Przeciw złemu utwierdzać przez ukochanie dobrego — oto podstawowa zasada kształcenia moralnego i to ukochanie dobra, umiłowanie cnoty pierwszej dziecku oile można dać, zanim ze złem się spotkać mu przyjdzie, jest najwyższej potrzebą, najwyższej pożądaną rzeczą, która ma tu znaczenie takie, jak fundamenta przy budowie gmachu. Ale tuż obok miłości dobra musi zostać rozbudzonem wistocie młodej uczucie drugie, będące dopełnieniem pierwszego: wstręt od złego, odrazę od brzydoty moralnej,

brudu serca. Jak dziecko w ochłodzonej czystości chowane, wybiera wśród błota dla nóg swoich kamyczki, przez które unika zetknięcia się ze wstrętnym mu kałem brudzącym, tak należy wyrobić w istocie młodej odrazę do złego, szczepiąc mu ją przy pierwszym rozpoznaniu złego i dobrego.

Wypadki codziennego życia użyte tu być powinny, bo najłatwiej za pomocą ich przykładów, na dziecko działać i nauka, do której stają się środkiem, nie jest wtedy oderwaną, nie jest kazaniem, najczęściej nieużytecznym, a zmysł moralny przez żywe życie tak rozbudzony, najjedźniej, najdoskonalej się wyrabia. Ale kryje się tu jeden szkopuł bardzo ważny, niebezpieczeństwo wielkie, ogromne, na które uważa osoby wychowujące: matki czy nauczycielki, zwróconą być powinna. Dziecko sądząc czyny ludzi mu blizkich, których zna, z którymi przestaje, może więcej stracić, niż zyskać moralnie, bo serce jego, może się ochłodzić, może się w niem zatamować ożywcze źródło tych wszystkich cnót, które z przychylności dla ludzi, z wyposobienia dla nich życiowego, przyjaznego wypływają, a nabyć wad, z takim stanem ducha ludzkiego pokrewnych.

Krytyka nie jest dla dzieci i zły to pokarm dla dusz młodych, pokarm to taki, przed jakim ostrzega Paweł Św., że zgubny jest gdy przedwczesny. Mleko, rzecz słodka i łagodna, żywi tylko dobrze dzieciątka i podobny pokarm moralny podawać można jedynie organizmowi młodzieńskiemu, przy pierwszym kształceniu jego ducha. Wtedy też tylko trzeba przedstawić przed oczy dziecka złe strony rzeczy w jego otoczeniu spełnionej, gdy to jest wypadek, sądzony głośno i żywo, gdy to jest naprzykład jakiś czyn niemiłosierdzia, okrucieństwa, lub chciwości, który budzi w około dziecka oburzenie i ono to słyszy, wie o tem, że coś niepożyciwego dokonaniem zostało.

Wiadomość, że są na świecie ludzie źli, pada wtedy na duszkę młodą, jak pierwszy cień życia i dobrze jest, potrzebnym nawet jest, aby ujemny wpływ tego został do pewnego stopnia znihilowany, przez promień światła jasny i ciepły. Mówić dziecku wkrótce potem o ludziach szlachetnych, poświęconych, gdy się dowiedziało o złych i egoistycznych, przedstawić jego umysłowi przykłady cnoty, gdy go uderzyły przykłady przewrotności, to równowagę moralną w istocie młodej uratować, od zachwiania jej ustrzedz.

Że przecież zmysł moralny wyrabiać należy, że trzeba dawać dziecku tę naukę życia, która obok wiadomości dobra, wiadomości złego pominąć nie może, bo rzecz jest niemożliwa, należy dziecko o cnocie i niecnocie objaśniać przez przykłady inne i do tego są różne bajki, powiastki, obrazki i wierszyki, jest wreszcie w postępie edukacji historia. Wtedy-to przenosi się dziecko w sferę idealną, w krainę daleką od jego własnego istnienia, wtedy nie sądzi już ono ludzi, z którymi się styka i kochać potrzebuje dla swego własnego dobra, a szczególnie nie posuwa się w tych sądach swoich do tego, aby naruszać krytyką niedojrzałą powagę wieku lub węzłów rodzinnych. Zakrywają się przytem i nie występują przed wzrok dziecka różne niedobory moralne jego otoczenia, i przechodzą bez szkodliwego, psującego wpływu: atmosfera, w której żyje, nie wydziela mu miazmatów złego, nie wciągają ich piersi młode.

Z tego to względu wielce pedagogiczna jest ta stara bajka ze szkoły Ezopowej, w której działają zwierzęta; lub ta bajka ludowa, gdzie złe przedstawia jakaś istota fikcyjna, olbrzym, jędza. Dziecko bardzo prędko się dowie, że olbrzymów i jędz nie ma, ale to już korzyścią jego będzie, że wcześniej nie ucisnęła mu serca myśl o złym człowieku, że nieufność, myśl o zdradzie, nie psuła mu serca tego pierwwej, niżby miłość bliźniego, miłość całej ludzkości zapuściła korzenie swoje w grunt jego uczucia. Jest wielkie uszanowanie człowieczeństwa w tej starej bajce alegorycznej, która wszystkie garby i guzy moralne, jakie chce malować, mieści na grzbiecie zwierzęcym, jakgdyby obrazu ludzkiego nie śmiała niemił spieścić.

Przykłady z historii brać przy nauce moralności, jest z innego jeszcze względu pożądanem. Scena działania jest tu podniosła, spełniają się tu rzeczy wielkie i dziecko wkracza przez nie

w świat szerszy czynności ludzkich, i można mu bez naciągania, bez abstrakcji, która naukę moralną nieużyteczną dla dziecka czyni, dawać pierwsze lekcje tych obowiązków wyższych nad rodzinne: obowiązków obywatela kraju, członka wielkiej rodziny ludzkiej, i zarazem przygotowując jego serce do cnót, także wyższych nad rodzinne: do wielkoduszności, bohaterstwa.

Wielkie idee poświęcenia i na szeroką skalę pojętej miłości bliźniego, występują dla dziecka naturalnie i rzecz można poprostu z szlachetnych przykładów historii. Król Kodrus, który idzie z wiązką drzewa na plecach do obozu przeciwników swoich, Regulus w Kartaginie, obraz pół Maratonu, wawozów Termopilek, co za lekcje uczuć wzniosłych! Jak inaczej uderzyć w taką stronę serca dziecinnego, jak sprawić, aby to serce uczuło drgnięcie pierwsze wspaniałomyślnych porywów. Czy można głośno tego dokonać? Dziecko samego wyrazu działających tu pojęć nie może zrozumieć i nie trzeba nawet forsować mu umysłu, aby je rozumiało. Nie! niech to będzie zapas na przyszłość w istotę jego złożony, niech to będzie najpierw zajęcie jego wyobraźni, potem jedno z tych ukochań piękna moralnego, które uprzedza pojęcie rzeczy: „le préjugé du bien“, jak się wyraża moralista francuski, który pragnąc „przesąd dobra“ dziecku dać, pisze: „Prawda nie jest to tylko idea, którą trzeba znać, to powietrze, którem trzeba oddychać, to reguła, za którą trzeba iść, to spojrzenie, które należy widowiskiem dobra i piękna zająć“ (Vinet: *L'Education, la Famille et la Société*).

Aby istniał zapal dla cnoty, muszą się budzić w sercu młodem i pewne gniewy, oburzenia szlachetne i kto bez takiego podkładu moralnego chce w duszy dziecka umieścić obraz cnoty, nie dopnie tego, bo białość silnie występuje tylko na tle ciemnem i zgadzam się pod tym względem najzupełniej z drugim pisarzem i pedagogiem francuskim, Henrykiem Marionem, na to zdanie: „Przy nauce historii nie chciałbym przesłizgiwania się zbyt lekkiego przez fakta, które z natury swojej mogą obudzić w dziecku silne wstręty i zdrowe oburzenia. Wielkie zdrady, czyny podłości i podstępny we właściwy sposób umysłowi dziecka przedstawione, mogą prawie tak samo przyłożyć się do rozwoju moralnego, jak rysy poświęcenia i prawomysłowości rycerskiej“. (*L'enseignement de la morale à l'école primaire*).

(Dokończenie nastąpi).

KRÓLEWIEC I GRUNWALD

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S***

(Dalszy ciąg)

— Mój synowiec, przewielebny pasterzu i panie — odrzekł Birmund — przeszedł przez dobrą szkołę. Krzyżacy wyuczyli go chytrości i wszelkich podstępów; umiał on, ilekroć była potrzeba, pozyskać ich ufność; zamykał w sobie srożącą się w sercu nienawiść i, gdy wszystko w nim wrzało, oblicze jego i oko były spokojne i zimne. Bezecna potwarz kała dotąd moje siwe włosy; ale syn mojego brata zedrze ze złoczyńców zasłonę, która ich twarz okrywa, a ja ujrzę jeszcze dzień sądu i kary na nich! Bóg jest sprawiedliwy i w Nim moje nadzieje i wiarę pokładam!

X.

W dwanaście niespełna miesięcy po tej rozmowie, przed wielkim księciem Witoldem, w Grodnie,

na tajemnym posłuchaniu stał piękny dwudziesto-czteroletni młodzieniec, jasno-włosy, wysokiego wzrostu i kształtnej postawy, ze spojrzaniem jastrzębia lub sokoła, z tem bystrem spojrzeniem, przed którym na łowach nie się nie ukryje.

Nie mogę się porywać na odmalowanie wielkiej postaci dziejowej Witolda i odwołuję się znowu do znanego całemu światu obrazu. Niech go sobie czytelnik wyobrazi takim, jakim był we dwa lata później w bitwie pod Grunwaldem, niech tylko uniesienie tryumfu i zapał zwycięzcy zastąpi na jego obliczu wyrazem bólesci ojcowskiego serca i niewysłowionej zgrozy.

— Jestem Waldemar Birmund—rzekł młodzian, wszedłszy do sali i zgiąwszy kolano przed Witoldem.—Spełniłem wasz rozkaz najjaśniejszy książę i panie mój miłościwy, przekazany mi usty naczelnika mojego rodu, Jana Birmunda. Jeżeli w czasie mojego pobytu w krajach zakonnych krew krzyżacka zbroczyła mi ręce, wasza wielko-książęca mość, pan mój najmiłościwszy, raczy przebaczyć—nie mogłem tego uniknąć.

Wielki książę skinięciem ręki rozkazał mu mówić; i młody Birmund opowiedział co następuje:

Głównem dla niego zadaniem było umieszczenie się w służbie Sonnenberga; pojechał więc do miasteczka, położonego niedaleko od jego kommandoryi i tam zaczął się przysłuchiwać opowiadaniom o Sonnenbergu, jego t.y.bie życia i dziwactwach. Przebranie się za człowieka ubogiego i w pewnym już wieku zmieniło Birmunda do niepoznania. Dowiedział się on wkrótce, że dla jakichś niezrozumiałych powodów Sonnenberg szuka sobie sługącego niemowy. Nikt w okolicy nie wiedział, że komtur, dręczony wiecznie żyjącem wspomnieniem swej zbrodni, zapominał się często, rozmawiał sam z sobą, zwłaszcza, gdy dla zagłuszenia swojej zgryzoty, uciekał się do trunku. Zdarzało się to wprawdzie coraz rzadziej, lecz zawsze się zdarzało, a tymczasem, jedno nieostrożne słowo, wymówione w przytomności niepotrzebnego świadka, mogło go zgubić. Sonnenberg miał już nawet przy sobie takiego milczącego sługę, ale ten umarł był przed niedawnym czasem. Młody Birmund uchwycił się natychmiast myśli objęcia obowiązków po zmarłym; ale przeszkadzała mu ważna okoliczność.

— W kommandoryi Sonnenberga—mówił Waldemar tonem, w którym zadźwięczała nienawiść—był pewien rycerz zakonny, Zygfryd Rennenwald, mój wróg osobisty, którego o śmierć mojego ojca powszechnie obwiniano. Dopóki on żył, nie mógłbym nawet pokazać się w kommandoryi, bo poznał mnie-by odrazu. Musiałem go więc usunąć z mej drogi.... i pewnego dnia, Krzyżacy znaleźli jego trupa w krzakach, niedaleko od swojego klasztoru. Nasz święty pasterz, Biskup Wileński, mówił mi wczoraj, że ciężki grzech popełnił; ale Rennenwald był zaklętym wrogiem Żmudzi i mojego domu, pozbawił mnie ojca i niech jego krew spadnie na jego własną głowę. Przed wami, najjaśniejszy książę, prawdę tylko mówię winienem, jak na świętej powiadzi, i com uczynił, tego przemiłować nie mogę. A przeto, kto cudzej i skrytej zbrodni dochodzi, musi i sam iść krętymi ścieżkami, na których nie trudno we krwi umoczyć ręce.

Po śmierci Rennenwalda komtur Sonnenberg nie mógł wyjść na krok z kommandoryi, aby mnie nie napotkać z wyciągniętą doń ręką. Dał mi parę razy jałmużnę, lecz nakoniec, pewnego dnia, spostrzegłszy, że młody, zdrów i silny, wówczas już bowiem przestałem udawać starego, zapytał mnie: dlaczego żebrzę, będąc zdolnym do pracy?

Dałem mu poznać na migi, że nietylko mowy ale i słuchu jestem pozbawiony. Sonnenberg spojrział na mnie z uwagą, ale nie masz krzyżackich oczu, któreby mnie o niepokój przypawily. Osm lat życia spędziłem u nich w niewoli i na nauce; i lubo każdemu innemu udawanie głuchoniemego trudnem-by się wydało, mnie jednakże, przyuczono od dzieciństwa do ukrywania się przed ich tygrysią przewrotnością, wszystko, coby tylko zmierza ku ich szkodzie, z łatwością przychodzi.

Sonnenberg znalazł sługę, jakiego szukał: jednem słowem, zostałem przy nim.

Waldemar Birmund, streszczając następnie to,

co Sonnenberg mówił w stanie zapomnienia, sam do siebie lub do spółników swej zbrodni, a oraz odpowiedzi tych ostatnich, złożył księciu jasną i zwięzłą relacją.

W 1392 r., jeszcze za życia Wallenroda, Sonnenberg po oderwaniu się Witolda od Zakonu, ukazał się w Królewcu. Jego stosunki poprzednie z wielkim księciem, wznęcały przeciw niemu pewne podejrzenie, ale marszałek zakonny Engelhard Rabe, jego osobisty przyjaciel, wziął go pod swoją protekcją i w pewien czas potem powierzył mu pielegnowanie małych książąt i główną nad nimi opiekę. To poruczenie odpowiadało najzupełniej tajemnym życzeniom Sonnenberga, który w rzeczy samej miał szczerzy zamiar wydobyć zpod zakładu te dzieci i razem z nimi pośpieszyć na Litwę, do Witolda. Cóż więc dziwnego, że ożywiony takimi chęciami, był dla nich pełnym troskliwości i dobroci opiekunem? Lecz w Czerwcu 1393 r., ukazał się na wodach królewieckich statek litewski, wyprawiony przez Witolda z Połogi, z zaleceniem, iżby czekał na rozkazy Sonnenberga. Burze, które w owym czasie panowały na morzu, nie pozwalały mu przybić do wiadomej kaptanowi ustronnej przystani. Tym sposobem statek przez dni kilka krążył na widoku, i nakoniec Krzyżacy wpadli na trop tajemnego porozumienia się jego dowódcy z Sonnenbergiem.

Było to w czasie, kiedy stary marszałek zwołał komturów na jakąś wojenną radę i w liczbie ich przybyli do Królewca: Markward Salzbach i Henryk Schwelborn. Obwinienia o przestępstwo i zdradę posypały się zewsząd na Sonnenberga i domagano się nań sądu. Ale w tem liczne zgromadzeniu przeważny głos mieli Salzbach i Schwelborn, pierwszy przepełniony jadowitą nienawiścią ku Witoldowi; drugi, niezmiernie próżny i pragnący zawsze odgrywać rolę w najważniejszych sprawach Zakonu. Obadwaj naradzali się z sobą i osądzili, że nareszcie nadeszła stosowna pora pozbawienia Witolda obudwu synów, których życie niweczyło skutki układu tego księcia z Zakonem, układu, który oddawał Krzyżakom panowanie nad Litwą i Żmudzią, w przypadku, gdyby Witold zeszedł bez potomka płci męskiej. Oświadczyli więc Sonnenbergowi, że jedynym dlań środkiem ratunku była śmierć synów Witolda, że grasująca w Królewcu epidemia, nada jej pozór wypadku naturalnego, nakoniec, że, natychmiast po zgonie małych książąt, oni, Salzbach i Schwelborn, przez swoje wpływy u marszałka i przewagę nad innymi komturami oddała od niego wszelkie niebezpieczeństwo. Na tę nikczemną i podłą propozycją, Sonnenberg, ratując swoje życie i mniemany honor, odpowiedział najohydniejszą zbrodnią, jaka tylko w dziejach została spełnioną.

Nieszczęsne dzieci umarły z trucizny — lecz za to rycerski zakon dostąpił, przynajmniej według swego pojęcia, praw dziedzictwa po tym, którego następców zamordował.

Wkrótce potem, z różnych stron zaczęły dochodzić do księcia jednoznaczne wieści, że jego synowie zmarli z epidemii panującej w Królewcu. O prawdziwej przyczynie ich zgonu wiedzieli tylko dwaj obcy, to jest, Jan Birmund i lekarz; ale Salzbach i Schwelborn przedsięwzięli względem nich natychmiast środków ostrożności, i dwaj niewinni odpokutowali kilkunastoletniem więzieniem swoją obecność w kommandoryi, w czasie dokonania zbrodni. W każdym razie Krzyżacy umieli ją upozorować tak zręcznie, że nawet samego Witolda, słynnego z przenikliwości, w błąd wprowadzili.

XI.

Czerwiec 1410 r. miał się ku schyłkowi. Wojska zakonne, jak niezmierna powódź, posuwały się zwolna od Malborga ku Drwęcy. Pięćdziesiąt chorągwi i sztandarów; Kazimierz Książę Pomorski, Konrad Książę Oleśnicki, całe rycerstwo zakonne i goście zagraniczni z Frankonii, Brandenburgii, Westfalii, Szwajcaryi i innych stron Zachodu, w ogóle 80.000 wojowników szło za wielką chorągwią Zakonu Teutońskiego i jego wielkim

mistrzem Ulrykiem von Jungingen. Krzyżacy nie zapominali nawet o kajdanach dla spodziewanych jeńców wojennych; wieźli ich z sobą aż czterdzieści tysięcy. Na samą myśl o królu Władysławie i o księciu Witoldzie, mających dźwigać krzyżackie kajdany, radowało się serce zuchwałego Ulryka.

Ale dni potęgi zakonnej były już policzone.

„Dextera tua, Domine, percussit inimicum. Et in multitudine gloriae tuae deposuisti adversarios tuos“¹⁾.

Wojska zakonne ciągnęły ku Polsce i pewnego wieczora obóz rozłożył się na niezmiernej równinie. Słońce zbliżało się ku zachodowi i złotokrwawym blaskiem barwiło zielone lasy, opasujące okolice.

—Znam dobrze tę stronę—mówił Konrad Zagehör, do swojego przełożonego, Alberta hr. Wende, podówczas komtura Gniewa.—To moja strona rodzinna. O staję drogi od tej równiny, za lasem, nad brzegiem tego strumienia, mieszka i dziś jeszcze rodzona siostra mojej matki świętej pamięci. Ale przebaczenie, wielobny panie, że będąc zakonnikiem, do dziś dnia jeszcze o znikomym świecie i związkach krwi wspominam. Los bitew jest w ręku Bożem. Mogę z wojny nie wrócić i zasylam jej w myśli ostatnie pożegnanie. Ona mi, po śmierci matki, jej miejsce zastąpiła. Święta kobieta!

Komtur Wende spojrział z żywym spłóczaniem na Konrada i rzekł:

—Cóż może być godniejszego uznania nad to uczucie, które przechowało się w twem sercu dla tak blizkiej krewnej i opiekunki? Jedź do niej, Konradzie! Jedź i pożegnaj się: bo i któż losy bitew przewidzieć może?

Rycerz podziękował komturowi i, oddawszy sztandar, który wioził, jednemu ze swoich towarzyszy broni, spiał konia ostrogami i puścił się cwałem ku ustronnemu dworowi, który jego ciotka zamieszkiwała. Widok rodzinnej strony przywiódł mu na pamięć wszystkie wypadki jego pierwszej młodości i serce uderzyło mu żywo, na myśl powitania krewnej, którą czcił jak matkę, lecz którą, wstąpiwszy do zakonu, zaledwie kilka razy odwiedził. Prócz tego jeszcze jedno zamierzało już wspomnienie stanąć mu przed oczyma i Konrad, zaniepokojony, zwolnił bieg swego konia. Serce ścisnęło mu się boleśnie, paliły go skronie; zsiadł zacerpnął swym hełmem wody ze strumienia, aby się ochłodzić: nakoniec, przeżegnawszy się, ruszył znów dalej.

Tymczasem, w sali domu do którego dążył, jakaś młoda kobieta, w całym rozkwicie olśniewającej piękności, stała przy otwartem oknie gotyckiej struktury i wodząc oczyma po leśnej okolicy, nad którą ów dwór panował, obrywała w zadumanie listek po listku z kwiatu białej róży, który w rękę trzymała. Wiatr przedwieczorny, szeleszczący w liściach drzew na dziedzińcu, poruszał jej piękne, bujne, kruczego odcienia włosy. Była to pani można, hrabina, Klara von Ebersfeld. Dotsyć blizkie pokrewieństwo łączyło ją z panią domu, którą nazywała ciotką i często ją odwiedzała, albowiem mieszkała w sąsiedztwie.

Jakie były jej rozmyślenia, kiedy jej czarne oczy utkwione w dal, zdawały się tam szukać jakiegoś obrazu czasów, które już minęły?

— Czy on też żyje jeszcze? — mówiła do siebie z westchnieniem. — Tak dawno go nie widziałam! Moze gdzieś zginął na Żmudzi? Lecz jeśli żyje, czy mnie wspomina? Czy nasza pierwsza, błoga i szczęśliwa młodość żyje jeszcze w jego pamięci.... i sercu? W pamięci.... być może, ale w sercu.... Nie mówiliśmy nigdy o miłości, wiedziałam, że mnie kochał.... Dziś jestem wolną, nie mnie nie krępuje.... ale on? I jakież fatalny wyrok losu skazał go na życie gorsze od śmierci! Ale — dodała po chwili ze stanowczością gorejącego uczucia — muszę go widzieć. Być może czas, być może nastrój jego myśli zmienił jego szlachetne rysy? ale moje serce pamięta go takim, jakim go widziałam

1) Prawica Twoja, Panie, poraziła wroga. I w nieskończoności chwyci Twojej straciłeś ze szczytu twoich przeciwników.—

trzy lata temu, kiedy związana nieszczęsnymi słubami, zaledwie śmiała podnieść nań oczy.

Tak mówiła hrabina Klara, i jakby na uroczyste zaklęcie Lenory, przyzywającej ducha kochanka, w tejże chwili, przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca, w bramie zamkowej ukazał się jeździec w zbroi i białym płaszczu zakonnym.

Piękna wdowa przyłożyła rękę do serca, które w niej biło gwałtownie. Zdawało się jej przez chwilę, że ten, którego w skrytości duszy tak długo i namiętnie kochała, wyszedł z grobu i stawiał się na jej wezwanie.

Wkrótce brzęk ostrogi rozległ się w przyległej komnacie, i rycerz wszedł do sali.

— Tyżes-to, Konradzie? zawołała Klara wyciągając doń swą białą, wypieszczoną rączkę.

— Tak, pani, — odrzekł gość drżącym i przytłumionym głosem. — Przyjechałem powitać i zarazem... pożegnać moją ciotkę...

— Zobaczysz ją za chwilę... modli się w swoim pokoju, — przemówiła hrabina, zatrzymując na nim głębokie spojrzenie, jakgdyby pragnęła przeświadczyć się, czy w jego sercu przechowała się jakakolwiek isierka uczuć, które w nim odgadła, w czasach szczęśliwszych, kiedy oboje byli wolnymi.

Konrad Zugehör miał lat 32, lecz mimo to, a nawet, mimo ascetycznej surowości, którą życie zakonne i zamknięte w sobie powlokło jego oblicze, był jeszcze pięknym; i twarz jego nosiła na sobie cechę prawości duszy, a w oczach jaśniała pogoda. Klara westchnęła głęboko; zdawało się jej, że widzi go takim jak dawniej, kiedy zgadywał sercem jej dziewczęce życzenia, i dla niej był gotów życie poświęcić.

— Biedny Konradzie! — rzekła wpół-głosu, ze łzą drżącą na rzęsach. — I jakżeś ty nieszczęśliwy!...

— Ja, pani, nie uskarżam się na moją dolę. Wstąpiłem do zakonu ze szczerzego powołania, — odpowiedział rycerz smutnym lecz spokojnym tonem.

— Cóż mi zresztą zostawało na świecie? — dodał po chwili.

— Dlaczego nazywasz mnie panią? Dlaczego nie mówisz mi „Klaro“, tak, jak mówiłeś za tamtych czasów, kiedy ja miała lat 16, a ty 20. Drogie, kochane czasy! I jakże bystro minęły!...

Gorąca miłość drżała w każdym jej słowie, a jednak Zugehör jeszcze jej nie rozumiał. Wprawdzie kochał ją dawniej, i nigdy żadnej innej nie kochał kobiety: ale wstąpiwszy do zakonu, chciał być zakonnikiem bez zarzutu, i siłą woli, modlitwą i postem odpędził od siebie to ziemskie uczucie. Następnie dwunastoletnie więzy obrządków drobiazgowych i fanatyzm klasztorny stępiły w nim wyobraźnię i wszelką żywość uczucia stłumiły. Konrad nie rozumiał swej dawnej kochanki. Zdawało mu się, że ona w dobroci serca swojego, mówi jedynie o przyjaźni, którą zawsze dlań miała, i odpowiedział jej spokojnie:

— Daremnie usiłowałam, szlachetna hrabino, wyrazić moją wdzięczność za te życiowe wspomnienia.

— Konradzie, Konradzie! — zawołała Klara. — Nie nazywaj mnie panią, nie nazywaj hrabiną, jeżeli nie chcesz, iżby mi żal serce rozerwał. Dziś mogę żądać tego od ciebie: węzeł małżeństwa mojego śmierć rozwiązała... Wiesz zresztą, że moi rodzice narzucili mi narzeczonego; wiesz, że poślubiła hrabiego pod twardym prawem przymusu. Moje pożycie było nieprzerwanym pasmem żalów, goryczy i niemej rozpacz. Jego gwałtowność uczyniła go plagą dla poddanych. Dochowałam mu wiary... lecz nigdy ani przyjaźni, ani nawet szacunku nie miałam dla niego. Oddano mnie w moc dzikiego barona, jak niewolnicę. Tak jest, Konradzie! Dochowałam mu wiary; ale oddając mu rękę... kochałam innego.

— Innego? — powtórzył Konrad tonem pełnym zdziwienia i zarazem goryczy. Innego? To nie podobna... Nie przypominam sobie nikogo... nie znałem przynajmniej nikogo...

— Nie znałeś nikogo, ktoby się mógł nazwać moim wybranym? — rzekła Klara, wybuchając

z całem swoim uczuciem. To zajrzyj w głębi własnego serca, Konradzie! Przywiedź sobie na pamięć naszą szczęśliwą i niezapomnianą przeszłość — nasze rozmowy w tych samych ścianach, na które i w tej chwili patrzymy, nasze przechadzki nad brzegami strumienia, który się tam wije po równinie. Przypomnij sobie spojrzenia i sam ton mojego głosu! Nigdy wprawdzie to słowo — miłość nie przeszło przez nasze usta... ale i cóż żądać? Młody rycerz, którego całą spuścizną był miecz i złote ostrogi, nie śmiał podnieść oczu na bogatą dziedziczkę... Ale przecucię serca kobiciego są nieomyślne; wiedziałam, że mnie kochał tak szczerze, gorąco i czule, jak i ja sama kochałam ciebie... i choćby nienawistny mi zakon wyziębił twe serce, choćby w niem wszystkie wymarły uczucia, to i tak jeszcze ci powiem, żeś był zawsze i będziesz moją pierwszą i ostatnią, moją jedyną miłością!

Cała przeszłość ożyła w pamięci Konrada, uczucie gwałtownie ujarzmione, przywiedzione do milczenia i uśpione podniosło rokosz przeciw tyranii jego własnej woli. Konrad zapomniał, że był zakonnikiem. Uchwyciwszy rękę drogiej mu kobiety, okrył ją gorącymi pocałowaniem, i w uniesieniu zawołał:

— Klaro! najdroższa Klaro! Ileż to razy w tamtych szczęśliwych czasach... w promiennej wiosnie naszego życia, pragnąłem wyznać u twoich stóp wszystko, co przepełniało me serce — prośby, nadzieje, zwątpienia i rozkosze, żale i rozpacz, lecz słowa zaklęcia po tysiąc razy z ust moich wyjść już gotowe, zatrzymywały się na samej myśl o dumnym baronie, twym ojcu... u którego nie za mną nie przemawiało! I pomyślałem sobie, że milczenie było mym obowiązkiem, że i tak już, patrząc na ciebie, słysząc twój głos pełen słodyczy, aż nadto byłem szczęśliwym...

W tem miejscu rozmowy, niemłoda już, lecz szlachetnej postawy kobieta weszła do sali. Konrad rzucił się ku niej i zgiąwszy kolano, ze czcią ucałował jej rękę.

Wielka to była radość zacnej damy, kiedy po latach trzech niewidzenia ujrzała znowu siostrzeńca, którego w swym domu wychowała i kochała jak syna.

— Czy nieprawda, Klaro, — rzekła do hrabiny po czulem przywitaniu się, — czy nieprawda, że się on nic nie odmienił?

— I ja toż samo znajduję, droga ciotko! — odrzekła Klara ze wzruszeniem, którego jeszcze po swej rozmowie z Konradem powściągnąć nie mogła.

— Spodziewam się, mój kochany, — rzekła znów ciotka, że tym razem przynajmniej przebędziesz u mnie dłużej, niż zwykle?

— Niestety! Tej jeszcze nocy muszę być w naszym obozie... Nie mógłbym tu nawet przyjechać, gdyby nie dobroć mojego przełożonego, komandora hrabiego Wende. Słyszalście, panie, o blizkiej wojnie. Ciągniemy ku granicy polskiej.

— Słyszalysmy, — odpowiedziała ciotka. — Ale i gdzież jest nasz obóz?...

— Na równinach za lasem, moja ciotko! O ćwierć mili stąd zaledwie. Zajęliśmy niezmiernie obszary w okolicach, i o tej porze, na przestrzeni dwóch mil, jak sędzę, widać same tylko namioty i ogniska.

Rozmowa na ten tor wprowadzona ciągnęła się godzin parę, nakoniec Zugehör powstał, aby pożegnać się z ciotką i Klarą.

— Pozwól, drogi kuzynie, rzekła ta ostatnia, — że, korzystając z twojej obecności, poproszę cię, iżbyś mnie przeprowadził do mojego zamku. Muszę być koniecznie dziś w domu, a prócz pазia nie mam przy sobie nikogo. Tymczasem wasze zbrojne żołdactwo musi snuć się po okolicy. Pod twoją opieką przejadę bezpiecznie.

— Pani! — odpowiedział Konrad. — Jestem gotów na twoje rozkazy.

W kilka minut potem Konrad i hrabina jechali obok siebie drogą żywo blaskiem księżyca oświeconą i wijącą się pośród zarośli, nad brzegami strumienia; a młody paź o kilkanaście kroków za nimi.

— Mogłabym była przepędzić tę noc pod dachem ciotki — mówiła doń Klara, puszczając swojego konia powolnym stępem — ale nie chciałam stracić ani chwili z twojego pobytu w tem ustroju. Przytem, o mój najdroższy, jeżeli pragniesz własnego i mojego szczęścia, to mnie posłuchaj uważnie.

Po chwilowem zapomnieniu o wykonanym ślubie, po uniesieniach wskrzeszonej na nowo miłości, biedny Konrad miał czas do uczynienia gorzkich i prawie rozpacznych uwag nad swoim położeniem. W czasie dwugodzinnej i spokojnej z ciotką rozmowy, wyrzucał sobie, jak grzech śmiertelny, wyznania, których już cofnąć nie mógł. Usłyszawszy więc żądanie czyli raczej prośbę Klary, przerażony aż do głębi duszy, odrzekł jej drżącym i niepewnym głosem:

— Wiadomo ci, pani, jakie na mnie ciążą zobowiązania i śluby... Ulituj się nad nieszczęśliwym, który na wszystkie ponęty tego ziemskiego świata, na wszystko, co mu niegdyś... było najdroższem, zamknąć oczy powinien.

— I znowu pani! — rzekła Klara tonem pełnym skargi i rzucając nań czule spojrzenie.

— Klaro, miej litość nademną! Dlaczego chcesz wskrzeszać umarłego? Umarłym pokój się należy.

— Więc nie możesz mnie słuchać? To żegnam cię na zawsze. I łkanie przerwało jej mowę.

— Zatrzymaj się, Klaro! — zawołał Konrad, podając się oczarowaniu, które nim nanowo zawładnęło. — Jakieś przecucie mówi mi, że cię już nigdy nie zobaczę... Zatrzymaj się, najdroższa! — Mów! Słucham cię! Pragnąłbym słyszeć twój głos nawet w godzinie mej śmierci.

Hrabina zwróciła się do pazia i rozkazała mu jechać natychmiast do zamku i zawiadomić intendenta, że obóz wielkiej armii stoi niedaleko, że trzeba się mieć na ostrożności przed żołnierstwem, które po nocy zacznie, jak zwykle, brodzić po okolicy.

Paź odjechał cwałem, a Klara zwróciła się do swego towarzysza podróży i rzekła:

— Powiedz mi, Konradzie, co sądzisz o powodach wojny, która ma wkrótce wybuchnąć? Po której stronie jest święta sprawiedliwość? Powiedz mi otwarcie. Wymagam tego koniecznie.

— Nie do mnie wprawdzie należy sądzić o pobudkach naszej kapituły i mistrza — odrzekł rycerz — ale żądasz odemnie otwartości, to ci powtórzę zdanie czcigodnego przełożonego mojego, hrabiego Wende.

— Jakież to jest zdanie? — zapytała Klara.

— Hrabia — odrzekł Konrad — utrzymuje, że Zakon nie ma słuszności, że nawet, usunawszy na stronę ten wzgląd moralny, który jednakże dla każdego mocarstwa chrześcijańskiego, powinien być prawem, wielki mistrz i kapituła nazbyt wysokie mają zamniemanie o potęgę Zakonu i prowadzą go do zguby.

— Szlachetne serce! — rzekła Klara.

— Hrabia Wende nie wahał się wypowiedzieć swego zdania wobec mistrza i całej kapituły — dodał Konrad.

— Ucałowałabym jego rękę, gdyby zdanie tego zacnego dygnitarza przeważało na waszem zgromadzeniu zakonnem..., nie byłoby tej bezbożnej wojny, którą Zakon przedsiębierze jedynie przez chciwość podboju. Nie drżałabym wtedy o twoje życie, mój luby. A teraz, posłuchaj mnie, bo mam ci objawić rzeczy, o których ten zaślepiony mistrz i jego kapituła, a nawet twój zacny przełożony, mogą wcale nie wiedzieć.

Gwałty, zdzierstwa i rozboje krzyżackie oburzyły świat cały. Posłuchaj, co mówią Prussy, co mówią wsie i miasta jęczące pod władzą zakonną, a nawet szlachta, która jednakże z plemienia germańskiego pochodzi? Wasz Zakon jest powszechnie znienawidzony: przebrała się miara jego grzechów i nieprawości. Ja sama nienawidzę go z głębi duszy. Czy wiesz, o jaką okropną i niesłychaną zbrodnię oskarżają Wallenroda i ówczesną kapitułę?

— O jakąż, na Boga? — zapytał Konrad, dotknięty do żywego słowami Klary.

— O otruciu dwojga niewinnych dzieci, synów księcia Witolda.

— To niepodobna, Klaro!

— Wszystko jest podobnem, kiedy rzecz idzie o wielkich mistrzów, kapitułę i o czynności Zakonu.

— A w Bogu już spoczywający Konrad v. Jungingen? Cóż mu zarzucisz, Klaro? Nie był-że to bogobojny zakonnik i rycerz, pełen prawości?

— Nie mogę uwłaczać jego pamięci — odpowiedziała Klaro. — Wiem tylko, że zapóźno został mistrzem, iżby moralnie podnieść Zakon, stoczony zepsuciem i wszelkimi bezprawiami. I jakież nieszczęsne przeznaczenie oblokło cię w ten biały płaszcz i habit? Smutne było twoje powołanie i samej tylko rozpacz mogła je przypisać. A teraz ostatnie słowo, mój drogi, mój najmilszy Konradzie! Nie oszukuj własnego serca! Ty mnie i dziś jeszcze kochasz tak samo, jak dawniej kochałeś. Jestem pania swej woli, od samej siebie zależna: jestem bogata i nie masz skarbów, którychbym dla naszej wzajemnej miłości, dla naszego szczęścia z rozkoszą nie oddała. Zapłacę w Rzymie, ile zażądają, byle cię od słubów zwolniono. Usłuchaj mojego zaklęcia i wystąp z nienawistnego Zakonu, Konradzie.

— Nie mogę, najdroższa Klaro! — odrzekł rycerz smutnym, ale stanowczym głosem. — Wyrzekłem słub dobrowolnie i nie masz władzy pod słowem, któraby mnie w mych własnych oczach od niego zwolniła. Moją przyszłą dolą jest rozpacz i odrętwienie; lecz będę szczęśliwym, kiedy uderzy moja ostatnia godzina. Z myślą o tobie, z nadzieją naszego wiecznego połączenia w niebie, ten biedny, znikomy świat opuszcza.

Klaro zachwiała się na siodło i Konrad zeskończywszy z konia, pośpieszył jej w porę na pomoc. Posadził ją na murawie, nad strumieniem i skropiłszy twarz wodą, zdołał ją nareszcie ocucić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O PRZEDŁUŻENIU ŻYCIA

(Według szkicu Preyera z Jeny).

I.

W *Deutsche Rundschau*, piśmie literackim wychodzącem w Berlinie, zamieścił Preyer nader zajmujący artykuł pod powyższym tytułem, w którym, wyrzekłszy się utartych komunalów, rozprawia o życiu, o warunkach zachowania zdrowia i o środkach prowadzących do długowieczności. Myśli profesora jenajskiego, w formie aforyzmów ujęte, budzą tem większe zajęcie, iż czerpane są z doświadczenia dzisiejszych badań higienicznych, bądź z historii, a jako popularne i do rozumu wykształconego przemawiają i prostaczka nauczyć mogą: stąd też większą mają wartość od wywodów i wskazówek w dziełach podających całe litanie dyetetycznych prawideł, wątpliwej natury i do spamietania niełatwych.

Nikt z nas nie wie, jak długo żyć będzie, lecz niejedynemu radby o tem wiedzieć. Wprawdzie Pismo Św. w Psalmach dość obojętnie opowiada nam: W siedmdziesiątym, a co najwyżej osmdziesiątym roku następuje kres twego żywota; na innem zaś miejscu, łagodząc niejako smutne wrażenie o niezbyt długim życiu, wspomina o przedpotopowych praojcach, których wiek bajeczną kilku-wiekową liczbę lat osiągnął: lecz statystyka ta nie z naszej doby, przeto i dat w dośłownem brzmieniu brać nie należy i owe mytyczne hyperbole co do wieku ludzkiego, zwłaszcza naszych poprzedników, niemające dziś odpowiadającej im rzeczywistości, nie mogą dawać żadnej dla rozumowań podstawy. Bądźco bądź: czyli owe Metuzalemove lata, które jako przysłowie do historii przeszły, są *de facto* prawdziwemi, czyli tylko prostą legendą, to jednak ze względu na li-

czne wiarygodne wypadki o stuletnich ludziach obecnie żyjących, znajdują one uzasadnienie swe w pytaniu: czyli życie ludzkie ponad normalną granicę dowolnie może być istotnie przedłużonem, tak, iż miasto 80 lat, podwójną liczbę osiągnąć można? Pewnik, iż żaden z ludzi dotąd 200-letniej rocznicy urodzin nie święcił, nieczego nie dowodzi. Gdy starzec, dożyje 100 lat i zdrowym się czuje, przypuszczenia, iż jeszcze w tychże samych warunkach do życia niezbędnych jeden rok żyć może, nie można nazwać nieprawdopodobnem, jak również, iż dożywszy 101 lat przy dobrym bycie i powodzeniu 102 lat i t. d. żyć będzie. Dowodu przemawiającego za koniecznością zasłabnięcia, bądź śmierci, po pewnym z góry oznaczonym czasie nikt złożyć nie może. Granicy i ścisłego w liczbach określenia czasu, w którym dziś żyjące młode i stare, zdrowe i słabe indywidua żywot swój zakończyć mogą — niema. Rachunek prawdopodobieństwa i statystyka mogą w praktyce użyteczne poniekąd wydać rezultaty, czego zbawienne urządzenia assekuracyjne na życie dowodzą, lecz w pojedynczych wypadkach wszelkie uogólniane przepowiednie upadają. Nikt z nas nie wie, co jutro przyniesie; okoliczności, wpływy otoczenia naszego, niespodzianki z góry przewidzieć się niedające, zwłaszcza skoro łańcuch powodzeń ludzkich raz rwać się zaczyna, przeciąć mogą tę nie żywota w myśl księdza Baki:

... że śmierć dźga zakąty
W szkarłaty i po suknie nieraz dobrze stuknie
I po płótnie tak utnie, jak i po kapturze
I po fryzurze równie, jak i po mundurze....

Natura, acz wiecznie piękna i młoda, z całym apparatusem zjawisk, dostarcza tysiąca przyczyn dla których i najszcześliwszy z ludzi jednej minuty życia pewnym być nie może. Miasta nawiedzane trzęsieniem ziemi, powodzie z tej i z tamtej strony oceanu, wojny, burze morskie, kopalnie i wszystkie niezwykłe dotąd niewytłomaczone, zjawiska, które jako konieczne accessoria od przyrody zależne życiu naszemu zawsze i wszędzie towarzyszą, pozostaną stałymi nieprzyjaciółmi naszej egzystencji — wzamian czego zdarza się wręcz przeciwnie, iż człowiek wyrokiem areopagu lekarskiego na nieohybną śmierć zasądzony do zdrowia powraca i przeżyć może tych, którzy go zasądzi. Czas trwania życia zostaje w granicy, która się obliczyć nie da; może on napróżd być oznaczonym wtedy tylko, jeśli wśród normalnego przebiegu wędrówki ziemskiej człowiek dobrowolnie sam ręki przyłoży. I ten-t fakt, iż człowiek samowolnie ukrócić sobie może życie, jest przywilejem smutnym, wyłącznie rodzajowi ludzkiemu właściwym, i dowodzi bezpośredniego wpływu człowieczej woli na długość życia.

Makrobiotyka czyli sztuka przedłużenia życia, któraby raczej nauką, a nie sztuką nazwać należało, polega na doświadczeniu i zawarunkowana ścisłością w wykonaniu prawideł zalecanych przy pewnych danych skutecznie działać może na przedłużenie naszego życia. Oznaczenie czasu śmierci napróżd jako pewnik nie wchodzi w zakres jej możliwości, lecz czas życia ponad zwykłe trwanie przeciągnąć — jest jej zadaniem. Zajmując się ona również liczebnymi faktami, iż wiele ludzi według zdania historyków i kronikarzy dłużej nad 100 lat, inni dłużej nad 150 lat żywotem się cieszyli. Kronikarze sporządzali długie tabellarne spisy żyjących od 100 do 120 lat, kilkuset od 120 do 140 lat: kilku zaś tylko przeżyło 150 lat, jak Anglik Jenkins. Ten niezwykły z ludzistawał kilka razy jako świadek przed sądem, pierwszy raz w 17 roku, poraz ostatni jak sądowe akta dowodzą w 140 roku, umarł mając lat 157, według innych 161 lub 2; o starszych wiekiem niema i śladu.

Z wielu zestawionych danych o długim życiu, wykluczając przechowane ze świata mytyczne czasów tradycje, jak owe w historii żyjące postaci Pandorów i owych 300-letnich arkadyjskich królów i starych Braminów, — pozostanie jeszcze tysiacyzny zastęp najautentyczniejszych wypadków o mężach i kobietach żyjących zdrowo ponad setkę lat: chociażby więc jeden tylko wypadek odosobniony, w którym człowiek dożył 150 lat, jest on już

dostatecznym czynnikiem, aby na nim naukę o przedłużeniu życia oprzeć. Jeśli jeden człowiek tak starym być może, jest możność iż i inni podobnego wieku dożyć mogą. Jak więc żyć należy, aby temu odległemu celowi być najbliższym i czyli to tylko pewnym indywiduum wyjątkowo z góry może dla wyjątkowych zasobów fizycznych i zdolności, zakreślone jest, tak długiem cieszyć się wiekiem?

Ci, u których miłość do życia, bądź ochota tylko do istnienia, silnie wydoskonaloną była, nie obawiali się bez namysłu wydać sądu, iż każdy zdrowy człowiek najdłużej żyje, skoro tylko właściwych ku temu używa środków. Wieki wysilały się na wynalezienie uniwersalnych środków zaradczych celem przedłużenia życia i najświetniejszą fantazją nasza kuleje wobec dziwacznych pomysłów i prawideł szarlataneryi, mających wytworzyć długoletność człowiekowi. W Średnich Wiekach łatwowierność w towarzystwie z ciemnotą ubiegały się o prym w wynalezieniu tajemniczych alchemicznych środków. Ów kamień mędrców pod nazwą „elixiru życiowego“, jako cudowny środek osiągnął w swoim czasie większy rozgłos, niżli Kolumb przez odkrycie Ameryki. Środek ten zamieniał nieszlachetny kruszec w złoto, również przedłużał życie, chronił od zabójczych chorób i niespodziewanych klęsk — odmładzał. W historii licznych błędnych pomysłów niemasz bardziej nauczającego rozdziału o pierwotnych pojęciach ówczesnych głów nad ten, który traktuje o tak zwanym „kamieniu nieśmiertelności“. Kopp w swej *Historii Chemii* pisze o sławnym Rajmunde Lulli, który w wieku XIII za pomocą kamienia krocie pieniędzy przysparzać miał, potrzebnych do prowadzenia Wojen Krzyżowych. Pewien Salomon Trismosin, uczony z Konstantynopola zapewnia w r. 1490, iż za pomocą kawałka takiego cudownego kamienia na starość młodym się uczynił, jego pożytkła skóra, zmarszczkami zarorana, wygładziła się, zbielała usta poróżniały, siwe włosy poczerniały, pochyłe ramiona wyprostowały się, co więcej, tym kamieniem powracał mędrzec 90-letnim niewiastom ich uroczą młodość. Alchemik Artephius w XII wieku twierdził, iż był 1000 lat starym, i nikt się naówczas nie znalazł, ktoby zaprzeczył tej prawdzie. W r. 1724 umarł Wenecyanin Fryderyk Gualdus, rycerz Czerwonego Krzyża, 400 lat pozornie mający, liczył bowiem według podobnej skali, jak jego poprzednik. Cagliostro znany czarodziej dyplomowany zaszedł w swoich twierdzeniach jeszcze dalej. Za pomocą czarodziejskiej sztuki wzbogacił był niejakiego Mikołaja Flamela, o którego śmierci niema i wiadomości, a derwisz jeden w Brussie wraz z żoną widzieć miał jeszcze tego milionera w Indjach. I w to wierzyli europejscy czarnoksiężnicy i jeszcze w dodatku derwiszowi dziękowali.

Czary znikły, przesady zmalały, wiara ludzi przybrała kierunek racjonalny i świat przyszedł do przekonania, iż jak ołowiu w złoto nie zamienisz, ciężaru nie powiększysz, tak i wytworzony sztucznie elixir życia nie przedłuży. Historia czekała cierpliwie na zaprzeczenie cudownych faktów, a jednak jeszcze w r. 1837 przysłał był alchemik jakiś z Turyngii towarzystwu kupieckiemu w Weimarze uszlachetnioną tynkturę, aby się członkowie o zbawiennych skutkach jej przekonać mogli. Są i większej doniosłości fakta od tych rozproszonych, pojedynczych doświadczeń ówczesnych szarlatanów; rozumni bowiem mężczyźni i kobiety wierzyli, iż w prawidłowych dawkach pewne mixtury, różnego rodzaju sole, przedmioty wyskokowe, przyrządzane według wskazówek znachorów, sztucznie życie przedłużają. Głównym artykułem w tych lekach był winny spirytus, dotąd jeszcze pod nazwą „aqua vitae“ w krajach romanickich swój debiut odprawiający. Należałoby go nazwać: „aqua mortis“. Saletrę w małych dawkach zażywano naczecz, a w Anglii, tym kraju excentryczności, zdrowi nawet posilali się nią, celem długiego życia. Zwyczaj ten głupi zarzucano dopiero wtedy, kiedy przy częstszym używaniu środka fatalne nader okazały się skutki. Tak więc ubytek sił do pracy wyleczył dopiero amatorów i spożywaczy saletry z ich przesady. Nastąpiły inne środki. Jakiś zamożny idiota zaraz po obudzeniu się ze snu kazał sobie kawał świeżej

ziemi przed nosem trzymać i napawając się zapachem gliny, chwalał nowy środek; trzymanie gliny przed ustami stało się receptą dyetetyki życia. Środki podobne okazały się jeszcze niedostatecznymi; potrzebowano systematycznie sam zmienić i przystąpić do nowych eksperymentów; aby jednak czegoś nadzwyczajnego dokonać, nadzwyczajnych potrzebowano środków. Tak rozumowali ówczesni eskulapi: należy ponosić ofiary z ciała i krwi, zadawać sobie z własnej woli katusze, przysparzać bólów; zdrowi więc ludzie puszczali sobie krew, odważniejsi i przesadniejsi katowali ciało. Ludwik XIII, król francuski, w tego rodzaju dyetetyce rej wodził; on-to nadał ton ówczesnej medycznej modzie i w ostatnim roku życia w ciągu 10 miesięcy 47 razy krew sobie puszczał.

Zwyczaj odmładzania ludzi za pomocą transfuzji krwi, znany już w dawnych wiekach, w ostatnich czasach do życia wprowadzony, zwłaszcza przy zatruciach i ubytku krwi, nie okazał się na ludziach skutecznym środkiem. Pierwsze doświadczenia czyniono w Jenie. Również zwyczaj okładania chorych niemowlętami i szczeniętami, które ciepłem ciała i oddechem, coś w rodzaju kataplazmów, zbolale miejsca i wewnętrzne choroby leczyć miały, — należy do rzędu tych pojęć o higienie ciała, które systematycznie przez wieki ludzkość trażyła. Dziś jeszcze chłopci w Turyngii leczą wszelkiego rodzaju cierpienia i rany mięsem ze świeżo ubitej zwierzyny i okładami z żywych morskich świnek.

Wobec tych smutnych przykładów zacofanych wyobrażeń o życiu i jego higienie zastanowić się należy nad tem, oile rozumna, od wszelkich przesądów wolna, w parze z najnowszymi badaniami postępująca, dyetetyka korzystnie wpłynąć może na przedłużenie życia. Poznanie więc przedewszystkiem teorii naukowej jest warunkiem kardynalnym. Twórcami makrobiotyki są: Bacon Werulamski w początku XVII w. i Hufeland w końcu XVIII w. Ten ostatni wydał w Jenie r. 1793 dzieło: *Kunst das menschliche Leben zu verlängern*. Książka ta, pokilkakroć przedrukowywana, stała się kodexem higienicznym dla całej ludzkości i mimo przestarzałych może dziś poglądów wobec nowoczesnej fizjologii na wartości bynajmniej nie straciła. Obydwa ojcowie nauki o przedłużeniu życia przyrównują życie ludzkie do płomienia, który ciało nasze wewnątrz trawi, gdy je zewnątrz powietrze osusza i zgadzają się w tem, iż należy płomień ten dostatnim podsycać pokarmem, a gorące powietrze kąpielami moderować, aby szybkiej konsumpcji ciała zapobiedz.

Bacon udowadniał, iż najdłuższe trwa życie, które najdłuższe rośnie, czyli, iż ciągłość życia od odpowiedniego wzrastania ciała zależy. Prędko rosnące rośliny, które wczesne owoce wydają, zamierają wcześniej, równie jak wcześniej wzrosłe zwierzęta. Buffon co do procesu dłuższego życia poszedł za zdaniem poprzednika, ustanowił proporcjonalną skalę jako normę i zależnym uczynił długość życia, również jak Bacon, od ciągłości wzrastania; w ogóle wielki zwierz żyje dłużej, wielki ogień nie gaśnie tak szybko. W tym celu ustanowił liczebną prawidłowość i ogólnie dla wszystkich krajów 90 — 100 lat jako prawdopodobną oznaczyć miarę. Hufeland w oznaczeniu życiowej skali pozostaje ze samym sobą w sprzeczności i dochodzi do summarycznej liczby 200 lat. Zdolność tak długiego życia — są własne jego słowa — leży w ludzkiej naturze, ogólnie mówiąc. Oznaczyć miarę, czyli wyższe organizmy 5 bądź 7 i 8 razy dłużej żyją, niż wzrastają, jak to chciał Hufeland, pozostanie rzeczą prawdopodobną, nie dającą się w liczebną uchwycić normę. Pewnem jest to tylko, iż człowiek, którego proces wzrastania ciała i intelektualnych władz powolniej się odbywał, względnie dłużej żyje, niż cudowne dziecię i wcześniej dojrzewający młodzian, gdyż nierówność wzrastania władz ciała i rozumu odbywa się kosztem niewydoskonalenia jednej z tych władz.

Ogólnie mówiąc, wszystkie dotychczasowe systemata i przepisy nauki przedłużenia życia, mają wspólną oś obrotową, której ruch spoczywa w umiarkowaniu naszych namiętności i w pewnej refleksji w życiu, co do warunków wśród jakich żyjemy: aby żyjąc żyć rozsądnie i unikając tego, o czym

z doświadczenia wiemy, iż na stan naszego zdrowia niekorzystnie działa. Złotym środkiem jest owa *media via* Horacyuszowa, zapanowanie nad sobą, rozsądek i chęć stateczna unikania wszelkich excentrycznych objawów, owa przez indyjskich i greckich mędrców uświęcona cnota: poznanie siebie samego. Szukać tego, co zdrowe, unikać tego, co szkodliwe: oto hasło. Ztąd pierwsze miejsce w dyetetyce życia zajmują zakazy, po nich idą prawidła. Czynności życia ukrócających unikać należy wynikliwie: a więc nadmiaru pracy fizycznej i umysłowej, całodziennego wysiadania z pokurczonym grzbietem, oddychania zatrutem powietrzem w lokalach zbyt zatłoczonych, lub w mieszkaniach nieodpowiednio do nadmiernej liczby lokatorów przewietrzanych, jak również zbytznego ocieplania. Żywnienie się korzennemi i w wyszukany sposób sztuki kulinarnej sporządzanemi potrawami, bądź napojem wątpliwej jakości jest działaczem trującym życia. Pożywienie, ani zbyt zimne, ani zbyt gorące, gdyż zęby, ważny motor odżywiania, cierpią na tem; wstrzemięźliwość od narkotycznych i alkoholicznych przysmaków, zwłaszcza w pierwszym okresie życia, zaleca się bezwarunkowo.

Wykluczyć z porządku codziennego życia nieprawidłowe namiętności, chociażby nietrwałej natury: niesmak dla ludzi i wypadków, zwłaszcza niezbyt ważnych; bezustanne, jałowe narzekania na świat i jego otoczenie, denerwującą obawę przed śmiercią, co jest największą niedorzecznością, gdyż ten tylko żyje w całym tego słowa znaczeniu, kto przygotowany jest na śmierć, jak na gody. Ustawicznej bezczynności, jak również szepiania i dociekania przyczyn własnego położenia i ciągłego zajmowania się własną fantazją, bez skutków w rzeczywistości, unikać należy z zasady.

A teraz prawidła jeszcze ważniejsze. Małżonkowie i niewiasty dożyli najwyższego wieku: przeto zdrowo jest żyć w małżeństwie; komu zaś noc spoczynku nie daje, ten starzeje się wcześniej. Śpiochy mają mniejszą energią działania: przeto nie należy w wieku dojrzałym spać w dzień, lecz ośm godzin w nocy, w nieopalanym pokoju. Czynności hartujące ciało bez umęczenia, codzienne na wolnym powietrzu ćwiczenia, przyczyniają się do zdrowia; przytem i zmiany miejsca i wygód, przejażdżki i podróże, mianowicie pieszo, działają nader korzystnie, jak również kąpiele rzeczne, które stan ciepła podnoszą i skórę w świeżości utrzymują. Czystość ciała przedewszystkiem, dezynfekcja celem zniszczenia zatrutych miazmatów gnijących substancji, bądź w zwierzęcym, bądź w roślinnym świecie. Należy strzedz pokarmy nasze przed zepsuciem, a jadać niewiele i powoli; kto je wiele i prędko, późnej starości nie dożyje, kto mało i prędko, dojdzie dalej, kto mało i powoli, ten na lepsze widoki na starość co do zdrowia, a kto nie zamało i powoli, nigdy zaś aż do przesylenia, ten ma zasobą największe prawdopodobieństwo długoletności. Czysta woda źródłana powinna być napojem niekoniecznie wyłącznym, ale ze wszystkich dla zdrowia najskwapliwiej poszukiwanym.

Z moralnych własności rozumu naszego, bądź serca, pielegnować i utrzymywać przedewszystkiem należy czystość obyczajów, która rodzi zadowolenie, niedające przystępu gniewowi, zazdrości i nienawiści; również jak i prawdomówność niezbędnym jest warunkiem zachowania zdrowia. Wzruszenia umysłu, jako też nieprzyjemnych uczuć, po dopuszczeniu się kłamstwa, zakłócających spokój i harmonię moralną, unikać należy. Tylko wesołe, zgodne z otoczeniem usiłowania, wydobytujące w każdej dobie jasne strony naszego życia, utrzymują prawidłowy stan duszy; nie zubożenie, nie zupełne, lecz tylko poskromienie wrażeń jakiegokolwiek natury, sprawia nam tylko przy takim stanie duszy możebne zadowolenie. Kto pracuje z niechęcią, ten będzie szybko starym, robota z wesołą miną dokonana, musi korzystać przynosić i nie tylko dla pracującego, lecz dla całej rodziny, dla społeczeństwa większą mieć wartość stosunkową niż spełniona niechętnie. Komu jego zawód, czynności jego powołania przyjemność sprawiają, ten długo żyć będzie, rodzone bowiem niekłamane zadowolenie, które umysł nasz w świeżości utrzymuje i choć częstokroć niespodziewanym smutkiem bądź nieszczęściem nawiedzone, nigdy

nie niszczy. Nie czas leczyć rany, lecz praca użyteczna; ani gwałtowne zajęcie się czy-to własną osobą, czy innymi i wszystkiem, ani rozmyślające wahanie się przy sprawach drobnostkowych, czego bynajmniej pracą nazwać nie można; lecz praca rzeczywista ciągła, stateczna. Chroni nas od dolegliwych zdarzeń i wypadków i zmniejsza ich zgubny wpływ na duszę. Kte z miłością, ten i ze skutkiem i z przekonaniem, co słusznym jest, pracuje i nie ma czasu na smutne myśli i nie lgnie do nich, ani się zbyt doń uśmiechającym rozkoszom, które psują serce, nie poddaje.

Z drugiej strony wszakże i regularność w trybie życia przesadną i zbyt skrupulatną być nie powinna; monotonna stateczność równie szkodliwą być może, jak ciągła nieregularność. Pewien rodzaj wolności i niesilenie się, tu i ówdzie jakieś zboczenie od systematyki życia, dla chwilowego wypoczynku i oderwania myśli skierowanej w jeden punkt — jest poniekąd koniecznem. Przy statecznem nawyknięciu i wśród jednostajnych okoliczności, nagle małożnaczące zmiany mogą wywołać rozstrój i wpłynąć szkodliwie na zdrowotny stan: należy więc przygotować się, raczej zahartować na tego rodzaju nieprzewidziane ewentualności. Ztąd wszelkiego rodzaju rekreacje, jak: ferye, urlopy, bezczynność niedzielna i świąteczna w ogóle, znajdują pod fizjologicznym względem swe usprawiedliwienie.

(Dokończenie nastąpi)

ŻYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

Dla uniknięcia nieprzyjemności, jakie zwykle wynikają z tego rodzaju służby żeńskiej, przyjmując się służbę mezką; jeden pełni służbę masztalera, drugi kucharza, trzeci pokojowca, zajmując się już wyłącznie tylko osobą pana — a zdarza się często, że jeszcze każdy z tych leniwców przyjmuje sobie pomocnika, który jest zarazem jego sługą.

Dobrzy słudzy w Japonii są rzadkością: wielką ich wadę stanowi lekkomyślność i to, że nie lubią długo pozostawać na jednym miejscu, zdarzają się jednakże niekiedy wyjątki, a są to już wówczas prawdziwe perły, posiadające wszystkie przymioty uszanowania dla państwa, delikatności obyczajów, w połączeniu z przezornością, zręcznością i inteligencją; prawdziwa to przyjemność mieć taką usługę, nie ma nawet czasu zażądać czegoś — ale powtarzam raz jeszcze, ci potomkowie Labranch'ów i Lafleur'ów są tak jak drogocenne cacka rzeczą trudną do znalezienia. W umiejętności kucharstwa przewyższają ich o wiele Chińczycy, dla których sztuka Vatel'a oddawna nie posiada już żadnych tajemnic.

Fenixem służby domowej jest *betto*. Czysty, staranny w ubraniu, najczęściej posiadający przyjemną powierzchowność, prawie ciągle żyjący przy koniach, zdaje się mieć coś w sobie z ruchów zręcznych i dumnych tego szlachetnego zwierzęcia. Muskuly jego jakgdyby z kauczuku i stali, przy ciągłym bieganiu dochodzą do zdumiewającej siły i giętkości. *Betto*, zajmujący się wyłącznie pielegnowaniem koni, umieją jak konie również szybko biegać, a są od nich wytrwalsi. Gdy się nie jest przyzwyczajonym do tego widoku, trudno patrzeć bez zdumienia, jak ci piękni chłopcy, zawsze rzeźwi i swobodni, biegną godziny całe, albo obok powozu czekając rozkazów, lub naprzód, by usuwać przeszkody: z początku też zwykle pod wpływem poczucia ludzkości, ma się zawsze ochotę ofiarować im miejsce obok siebie, czego jednakże żaden z nich nie przyjmuje, jako rzeczywiście ich dziedzicznego zawodu. Charakterysty-

czną cechę owych *betto* stanowi tatuowanie całego ciała.

Tatuowanie japońskie jest rzeczą nader ciekawą: wymaga ono prawdziwej sztuki ze strony wykonywających, a ze strony pacjentów niepomiernej dozy cierpliwości; ponieważ *betto* nie poddaje tatuowaniu pojedynczej tylko części ciała, lecz całej swej postaci. Artysta w sztuce tatuowania rozpoczyna dzieło od wyrysowania na plecach, piersiach, ramionach, biodrach i nogach swego pacjenta, najdziwniejszych rysunków, wykluwając je ostrem sztyłem, następnie, gdy ukłucia są jeszcze zupełnie świeże, to jest otwarte, nacieira je różnobarwnymi farbami, przez co utrwalają się one w ciele nazawsze, nie dając się zmyć niczem.

Biedacy, poddający się tej operacji, dostają najczęściej silnej gorączki, a nawet niekiedy umierają na straszną różę, lub przerażające ataki konwulsyj.

Tak przystrojeni *betto*, stanowią wyróżniające się postacie; niektórzy posiadają na plecach wizerunki ptaków i zwierząt wszelkiego rodzaju, na piersiach obrazy jakichś fantastycznych istot; węże otaczają im ramiona, a biodra zdobią smoki i rozliczne straszdyła; inni znów posuwają fantazję tak daleko, iż każą sobie rysować na ciele całe ubranie, wraz z herbem lub literami nazwiska swego pana. Co za klęska dla krawców, gdyby ta moda przeszła do krajów zachodnich! Ale dziś, gdy skromność angielska wraz ze swym nieznośnym *shoking* zmusza Japończyków do noszenia zawsze ubrania, nawet podczas najsroższych upałów, zamiłowanie tatuowania wielce się zmniejszyło i wkrótce zapewne stanie się z tym zwyczajem to, co z wielu innymi, posiadającymi wiele wdzięku, oryginalności i charakterystyki miejscowej, iż pod naciskiem europejskim, ustąpiły miejsca nowym jakimś pomysłom, a po największej części śmiesznym i dziwaczny.

Na okręcie naszym zmieniono już powtórnie kolej czuwających na służbie, Barrot spojrział na zegarek. — Przeklęty ze mnie gaduła! — zawołał, — mówię i mówię bez uwagi, iż wam, towarzysze, odkradam godziny snu; mógłbym wam powiedzieć, ciąg dalszy na jutro, bo jeszcze nie skończyłem, ale jutro będziemy już w Hong-Kong i ląd stały mieć będzie dla was więcej uroku, aniżeli moje opowiadania; na inny więc raz, jeżeli się znów odpowiednio złożą ku temu okoliczności. A teraz dobranoc, towarzysze.

V.

Przybycie do Hong-Kong. — Zmiana rozkazu. — Przechadzka po Wiktoryi. — Yokohama. — Przyzwyczajamy się do miejscowości.

O brzasku dnia zobaczyliśmy z okrętu skały Hong-Kong, a około ósmej godziny z powiewającą wspaniałą na głównym maszcie flagą, zawinęliśmy uroczyscie do portu.

W chwili przybijania do lądu, wszyscy na pokładzie są zajęci; każdy znajduje się na swem stanowisku, pilnując owych rozlicznych kółeczek, z których się składa jedna wielka całość wojennego okrętu.

Kapitan wraz z officerem służbowym stoją na miejscu nieco wzniesionem; porucznik przy kotwicach, officer kierujący obrotami znajduje się niedaleko wielkiego masztu w pogotowiu do wydania rozkazów zwijania lub rozpinania żagli stosownie do potrzeby — ale najwięcej zajęci są bez zaprzeczenia sternicy. Opatrzeni w długie lunety, badają pilnie horyzont; jeden pilnuje tylko sygnałów morskiego telegrafu, inny rozpatruje wybrzeże, trzeci znów szuka wśród stojących w przystani okrętów, czy nie dostrzeże masztu statku wojennego, flagi francuskiej, lub ognia stanowiącego sygnał rozkazujący. *Skrzydlaty* posuwał się ostrożnie.

Wpływając z pełnego morza do Hong-Hong, nie widzi się z początku, ani przystani, ani miasta, które się zwolna dopiero odsłaniają. Nagle najstarszy sternik wydaje okrzyk i biegnie co żywiej do kapitana; ten z lunetą w ręku, patrzy we wskazanym przez sternika kierunku, wszyscy zacieka-

wieni, co ich tak zajmuje, ale wkrótce tajemnica głoszona się staje: statek admirałski stoi w przystani! Według ostatnich naszych wiadomości, znajdował się on w Yokohamie i później dopiero miał przybyć do Chin, z kąd więc ta nagle zmiana postanowienia? Naturalnie otwiera się szerokie pole do wszelkiego rodzaju wniosków i domniemywań.

— A jeżeli otrzymamy nowe rozkazy?

— Może nas wyprawią z powrotem do Kochinchiny, nie byłoby to pierwsze wydarzenie ¹⁾ może.

— Na Boga, panowie! — rzekł doktor, zbliżając się do gromadki rozmawiających, u których wyobraźnia zdawała się niezmiernie podnieconą, wywróćcie nam z pewnością jakieś nieszczęście; czy te wszystkie domniemywania objaśnią was cośkolwiek. Bądźcież więc nieco cierpliwi i więcej filozofami. Za kwadrans zarzucimy kotwicę; w dieście minut później kapitan będzie w kajucie admirała, a niespełna w godzinę, dowiemy się z pewnością, co nas czeka. Pocóż się dręczyć naprzód. Zresztą, cóż nas może spotkać najgorszego? Rozważmy...

I doktor sam miał właśnie rozpocząć wyliczanie szeregu wniosków, gdy jeden z młodych sterników oznajmił, iż spostrzega sygnał.

Admirał telegrafował.

— A więc nie będziemy czekać i godziny, wtrącił ktoś z rozmawiających: za pięć minut rozstrzygną się nasze losy.

— Wywiesić znak oznajmiający spostrzeżenie sygnału! — rozkazał kapitan.

Jeden z majtków poskoczył do żagla.

— Dobrze, rzekł najstarszy sternik, niespuuszczając lunety ze statku admirała, — baczność! Ty, Kerladek, pisz na tablicy.

Znaki następowały szybko po sobie formułując tego rodzaju rozkaz: „Natychmiast... węgle... i... płynąć... jutro... rano... Yokohamy“.

— Doskonale, — rzekł Barrot czytający głośno słowa w miarę jak je kreślił na tablicy officer służbowy, daremnie trudziłem się wczoraj opowiadając wam o Szangaju; nie nie nagliło; ruszamy do Yokohamy natychmiast po naładowaniu węgla.

W pół godziny później skoro tylko „Skrzydlaty“ zarzucił kotwicę, podpłynęły łodzie z węglem zawsza przygotowanym z polecenia admirała, a officer dowodzący tą małą flotyllą powtarzał ustnie rozkaz przesłany nam poprzednio drogą napowietrzną.

Ta zmiana jednych zadawała, drugim niepodobna się wcale. Dlaczego? Wszakże czy zaczynać od Chin a kończyć na Japonii, czy przeciwnie, powinno być rzeczą zupełnie obojętną. Otóż nie! każdy tworzył jakieś projekta; marzono o polowaniach, balach, wycieczkach, prozownych obiadach mających się odbyć w Szangaju podczas zimy; dreszcz rozkoszy przebiegał na myśl o spędzeniu lata w Japonii, o jej przezroczystrych strumieniach, kaskadach i zielonych błoniach; a tymczasem wszystkie te projekta miały spełznąć bez urzeczywistnienia, rozbić się o rzeczywistość, zniknąć jak płatek śniegu pod wpływem słonecznych promieni.

Marynarz powinien mieć tę samą zasadę, jak mędrzec Horacego: być niewzruszonym. Liczyć na jutro, to narażać się niekiedy na liczenie dwa razy; dlatego też trzeba się nauczyć żyć z dnia na dzień, być zadowolonym ze wszystkiego, co nas spotyka, i stosować w praktyce dewizę zdającą się być umyślnie wynalezioną dla marynarza: czyń coś powinien, a niech się dzieje co chce.

Wiktorya (urzędowa nazwa Hong-Kong) położona na północnym stoku skał, jakgdyby pilnująca zazdrośnym okiem stałego lądu, przeglądała się zalotnie szeregami białych domów w błękitnych falach zatoki.

Po rocznym pobycie wśród bagnisk kraju Annam, widok tego czystutkiego miasta starannie, równo pod linię zabudowanego, sprawiał nader miłe wrażenie na oficerach załogi *Skrzydlaty*; większa też ich część pałała nieposkromio-

nem pragnieniem odbycia kilkogodzinnej wycieczki do tego ucywilizowanego kraju.

Dla nich Hong-Kong posiadał podwójny urok, była to pierwsza ziemia chińska, do której zawinął nasz okręt, a równocześnie prawie Europa; wprowadzie Europa, przeniesiona, ale zawsze Europa.

Wiktorya na pierwszy rzut oka wywiera na wszystkich Francuzach jednakowe wrażenie; ulice jej mające kryte arkady są niby karykaturą Algeru, a wzgórza o węzowatych ścieżkach przypominają niewyraźnie Kasbek. Ale to złudzenie trwa krótką tylko chwilę. Chińczycy w wielkich kapeluszach noszący lektyki, czerwone kaftany ci-payów i indyjscy policyanci uzbrojeni w laseczkę królowej, sprowadzają cię do rzeczywistości.

Wszyscy officerowie załogi *Skrzydlaty* oprócz porucznika, który musiał pozostać na służbie, częścią przed południem, częścią po obiedzie udali się na ląd stały, a nazajutrz przy śniadaniu, każdy opowiadał, jak czas przepędził. Ja w towarzystwie Kerpenika odbyłem dość długą przechadzkę poza murami miasta, doszliśmy aż do Happy-Valley, z kąd powróciliśmy wprowadzie wyczerpani z sił, lecz zachwyceni wycieczką. Happy-Valley jestto uroczą oazą, tem cenniejszą, iż się znajduje w kraju tak gorącym jak Hong-Kong i niemal pozbawionym roślinności; owoc angielskiej pracy i owej najwyższej właściwej im sztuki, wytwarzania zieleni chociażby na najdzikszych wyschłych zupełnie skałach.

Natychmiast po śniadaniu, skoro tylko ukończono ładowanie węgla, popłynęliśmy w dalszą drogę.

Tegorazego wieczora, piękna dotąd pogoda, zmieniła się fatalnie, w nocy musiano pozakładać wszędzie drewniane zasłony i przez dziewięćdziesiąt sześć godzin wzburzone fale morza nie przestawały miotać, jak rozbitkiem, biednym naszym *Skrzydlatym*. Nareszcie po sześciu dniach, niby sześciowiekowej podróży, ukazały się zielone wybrzeża Japonii; było to dnia 12 Września, dnia pamiętnego, podkreślonego czerwonym ołówkiem w dzienniku officerów.

Hebrajczycy wchodzący do ziemi Kananejskiej nie doznawali zapewne większej radości, aniżeli cała załoga i sztab *Skrzydlaty*, przybywając do Yokohamy; bo czyż rzeczywiście nie była to i dla nich także ziemia obiecana, od chwili wyjazdu z Francji, cel upragniony od tak dawna, a bezustannie oddalany przez nieprzewidziane okoliczności. Nie był-że to spokój, cisza po burzy?

Następne dni poświęcono gruntownemu oczyszczeniu okrętu; Gastinet, jako porucznik zazdrośny o dobrą sławę swego statku, chciał go ukazać oczom obcych, z jaknajkorzystniejszej strony, zalotnie przystrojonego we wszystkie ozdoby.

Przez cały tydzień żyliśmy w atmosferze przejętej wonią farb olejnych, wapna i pokostów; więc też officerowie uciekali z okrętu, najczęściej jak było można, i dzięki dawnym znajomościom, tak pośród osób cywilnych jak officerów konsystującej tam załogi, potworzyli sobie wkrótce wiele towarzyskich stosunków.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Prawa angielskie bardzo silnie, silniej niż nasze i francuskie, od czasu przyjęcia Kodeksu Napoleona, ściągają prawa mężatki, tak pod względem zarządu własnością swoją, jak wychowywania i stanowienia o losie dzieci; obecnie nawet istnieje w Anglii stronniectwo i stowarzyszenie, dążące usilnie do otrzymania pod tym względem zmian w cywilnym prawodawstwie Anglii. Otóż sprawa, świeżo wniesiona przed Sąd Policyjny miasta Southwark, dała powód prasie do rozpraw w tym przedmiocie, wykazując, że prawa obecnie obowiązujące, są razem uciążliwe i dla męża, bo przez konieczną rzeczy konsekwencją kobieta, nie posiadająca odpowiednich praw nie może być obciążoną obowiązkami, które jednak wypływają

1) Kilka miesięcy przedtem, okręt stojący długo bardzo w Tonkinie, otrzymał wreszcie rozkaz odpłynięcia do Chin; lecz, zanim wyszedł do przystani w Hong-Kong, zastał czekającą nań depezę, z poleceniem natychmiastowego powrotu na dawne stanowisko.

naturalnie z macierzyństwa, zatem mąż i ojciec zostaje nieraz nadmiernie niemi obciążony, skoro tylko żona i matka, w braku uczucia moralnego, zechce usunąć się od powinności swych w rodzinie. Pewien mieszkaniec miasta Southwark, należący do średniej klasy ludzi pracujących na życie, stanął przed tamtejszym sądem policyjnym po prawczej ze skargą wniesioną na Dom Sierot miasta, z powodu nieprzyjęcia tamże jego dzieci, za które nawet chciał płacić, a których ma sześciu, najstarsze: dziewczynka w wieku lat ośmiu, najmłodsze jeszcze niemowlę nieliczące roku. Żona jego zesłała z drogi uczciwości i wydalila się z domu; on sam zmuszony do pracy pozadomowej, na utrzymanie własne i dzieci, nie może czuwać nad niemi; że zaś nie ma żadnej krewnej, któraby się tego podjąć chciała, a najemnice gospodarowały mu bardzo źle i doprowadziły najmłodsze dziecko do zastraszonego stanu wycieńczenia, zwrócił się więc do publicznego zakładu miłosierdzia o pomoc, za którą chciał płacić według umowy. Lecz odmówiono mu — odmówiono na zasadzie, że gdy on sam nie należy do klasy nędzarzy i dzieci jego nie są sierotami, nie mogą więc zabierać miejsca innym, nieszczęśliwsiemu od nich, co też sąd uznał za słuszne i tylko ze względów litości polecił przyjąć najmłodszą dziewczynę do szpitala Domu Sierot z uwagi, że innego szpitalu dzieciennego nie ma w Southwark. Biedny człowiek wyszedł z sali sądowej z boleścią w sercu, a dzienniki notując fakt, zamieściły uwagę, że gdyby osobą zbiegłą od ogniska domowego był mąż a nie żona, władza zmusiłaby go co najmniej do płacenia żonie i dzieciom alimentów, które, zwiększając zasoby rodzinne, dałyby opuszczonej żonie środki do odpowiedniego utrzymania dzieci, co teraz spada w całości na opuszczonego męża, niemającego dać rady wszystkiemu; ale gdzie nie ma praw, nie ma obowiązków, a według kodexu angielskiego, kobieta jest w rodzinie tylko pionkiem, zależnym od ręki, która go posuwa.

Pożyteczna instytucja, o której już poprzednio wspominaliśmy tutaj, jako o chwalebnym zamiarze: *Dom Studentek*, został w Londynie otwarty z nowym rokiem szkolnym, to jest d. 2 Października r. b. Nosi on nazwę: „Lady's College Hall of Residence“ i przeznaczony jest wyłącznie dla kobiet studujących w kolegiach uniwersytetu, lub w kobiecej *Szkole medycznej*, już bez wyjątku, czy przybywają z dalszych stron kraju, czy też mają w Londynie rodziców lub rodzinę, przy którejby przebywały poprzednio, albowiem studia uniwersyteckie wymagają odpowiednio urządzonego sposobu życia, co w rodzinie nie zawsze otrzymać można. *Dom Studentek*, położony w pobliżu Uniwersytetu, pomieścić może obecnie dziećmi pensyonarek, płacących rocznie od 57 do 75 funtów sterlingów, za co otrzymują one posilny stół i pomieszkanie, składające się z oddzielnego dla każdej pokoju sypialnego, przy wspólnie dzielonej jadalni, czytelnicy i bawialni, gdzie pensyonarki mogą za wylegitymowaniem się z tego inspektora domu, przyjmować krewnych i osoby znajome. Dom nie zamyka się i w czasie wakcyjnym; w razie zaś większego napływu pensyonarek, może być przynajęta i na podobnych warunkach urządzona kamienica sąsiednia. Trzyletnią opłatę komornego za dom, obecnie zajmowany, wzięły na siebie dobroczynnie dwie siostry: Misses Browne. Inspektorką jest znana w zawodzie wyższego nauczycielstwa i szanowana powszechnie osoba: Miss Grove.

Autorka *Chaty Wujka Toma*, Henryeta Beecher Stowe, obchodziła w Czerwcu tego roku siedmioletnią rocznicę swych urodzin i zarazem pięćdziesięciolecie autorskiej pracy, przy wielkim współudziale życiowych jej osób, oraz kolegów i koleżanek po piórze, przyczem przewodniczył brat jubilatki, literat także, Henryk Beecher. Redakcja „Nowojorckiego Herald“ zadała przy spo-

sobności pytanie, zali postać „Wujka Toma“ była wzięta z rzeczywistości? na co autorka nie mogła stanowczo odpowiedzieć, ani *nie*, ani *tak*, gdyż rzeczywistość została tu pomieszana z fikcją. Myśl pierwszą nastroczyła rzeczywistość. Kucharka Mrs Beecher Stowe, murzynka, której ona ułatwiała korespondencję z mężem, także murzynem, niewolnikiem w Stanie Kentucky, opowiadała jej o tym mężu swoim, jako o tak wiernym i uczciwym człowieku, iż bywa wysyłanym przez swego pana sam i bez żadnego nadzoru, z produktami plantacji na sprzedaż aż do Cincinnati, jakkolwiek według praw Stanu Ohio, każdy niewolnik, wkraczający w jego granice, staje się natychmiast wolnym człowiekiem. Ale pan murzyna, obiecując mu wolność w przyszłości, wymógł na nim teraz słowo chrześcijanina, że wolności tej samowolnie nie zdobędzie, i on też dotrzymywał tego słowa uczciwie, a żona, opowiadając pani swojej o tej szlachetności męża, gorąco kochanego a rozdzielonego z nią przez ich stan niewolniczy, wzruszywszy ją, wzbudziła w jej umyśle myśl pierwszą, żłoso tak tragiczne mogłyby służyć za przedmiot do wstrząsającej sercami powieści. Gdy w kilka lat potem okrutne prawa, wymierzone przeciw uciekającym niewolnikom, uderzyły znowu o strunę litości w jej sercu, postanowiła wspomóc antyniewolniczą propagandę Stanów Północnych przez napisanie książki w tym przedmiocie, a wydana w tych czasach autobiografia murzyna Josiah Henson posłużyła jej do rozszerzenia pierwotnego planu. Kilka wypadków, kilka rysów charakteru murzyńskiego zjadł wziętych, przeniosła do książki swojej, która tym sposobem, przedstawiając obrazy, brane z żywego życia, nie jest jednak historią żadnej pojedynczej osoby.

Nie będąc utworem literackim najwyższej wartości, powieść Mrs Beecher Stowe stała się niemniej dziełem zapewniającem pisarce nieśmiertelność: nie artystom, ale idea przyniosła jej laur na skronie. Według ostatnich wiadomości, autorka *Chaty Wujka Toma* jest jeszcze zdrową, na swój wiek silną kobietą: ma starość piękną, jak pogodny wieczór dnia jasnego.

Obecnie inna kobieta wzięła w Ameryce pióro, aby wystąpić do walki z egoizmem i niepoświęceniem ludzką. Róża Brändli, rodem Szwajcarka, stanęła na czele peryodycznego pisma, założonego świeżo w Waszyngtonie, w celu uderzenia na przekupstwa urzędowe i kradzież publicznego grosza, co dziś jest dla Ameryki niemniej ciężką i ohydą raną Północy, jak niegdyś niewolnictwo było śmiertelną raną Południa. Mrs Brändli pisze, w programacie, że nie służąc żadnemu stronnictwu politycznemu, pismo, któremu przewodzi, będzie jedynie ciąć nożem skalpującym zbrodnie złodziejstwa i oszustwa, spełniające się bezkarnie, na bezpiecznym wyniesieniu służby obywatelskiej. Pismo nosi też tytuł *Tamahawk*, co razi nie miło, ale Ameryka nie ma bynajmniej delikatności europejskiego smaku, wreszcie niekazemna grabież publicznego grosza, jaka od pewnego czasu ma miejsce w Ameryce, a której ofiarą padł Garfield, może doprowadzić ludzi uczciwych do namiętnego rozdrażnienia.

Wdowa Garfielda została wybraną na członka senatu Hiram College, w miejsce jej nieboszczyka męża, a nowy ten zaszczyt, nowy dowód współczucia, okazywanego jej przez naród, zbiegł się razem ze śmiercią innej kobiety, przez wspólną dołę nieszczęsnego wdowieństwa do niej zbliżonej. Marya Lincoln, wdowa po zamordowanym także prezydencie, umarła w Springfield, w Stanie Illinois, w biedzie, w nędzy prawie, jak doniosły dzienniki angielskie, upominające się o to, że gdy Lukrecya Garfield otrzymała od narodu ogromny majątek i ciągle jest przedmiotem tkliwego zajęcia, druga, podobnie przez los okrutny doświadczona kobieta, małżonka wysoce zasłużonego człowieka, została opuszczoną. Wtedy dzienniki ame-

rykańskie odpowiedziały, wykazując, że różnica położenia wynika z różnicy charakterów dwóch tych niewiast. Lukrecya Garfield przyjęła wdzięcznie donację narodu; skromna i oszczędna, zarządzająca nim troskliwie, gdy Marya Lincoln, dumna, surowa i chciwa razem, postąpiła wcale inaczej. W chwili śmierci męża pozostawiony jej przez niego majątek wynosił 500,000 dolarów, prócz domu w mieście Springfield, który zamieszkiwała do śmierci; przyznał jej przytem kraj 5.000 dolarów pensji rocznej. Przecież zły zarządcą majątku, czy nieszczęśliwie spekulacje zubożyły ją; przesyłając ustawicznie rząd prośbami, otrzymała jednorazowego wsparcia 5.000 dolarów, a własny jej syn, minister spraw wewnętrznych w czasie prezydentury Garfielda, uznał i jako uczciwy urzędnik, nacisk na to położył, że matka jego nie ma już prawa do wsparcia od narodu. W każdym jednak razie umarła w stanie bardzo niezamożnym, biedny blizkim, a zdarzyło się, że w jednym i tym samym czasie, na jednym i tym samym parowcu przybyła raz ostatni do Nowego Yorku, ona, w wydartej sukni wdowiej, i Sara Bernhardt, wlokąca za sobą szaty jedwabne. Wszystkie dzienniki zajmowały się aktorką, której sypano złoto pod nogi, a wdowa po wielkim patryocie zapomniana, popychana może nieraz przez tłumy, wracać musiała wkrótce w rodzinne swe strony, straciwszy ostatnie lepszej doli złudzenie. *Sic transit gloria mundi*.

Hodowla jedwabników zaczyna być dla Ameryki ważną kwestią ekonomiczną. W Pensylwanii i w Kansas zasadzono już wielkie plantacje morw i amerykańskie kobiety zajęły się gorliwie przyswojeniem krajowi tej ważnej gałęzi nowej produkcji. W Filadelfii zawiązało się nawet towarzystwo kobiece: *Woman's Silk Culture Association*, pragnące rozpowszechnić hodowlę jedwabników i w tym celu wydało ono podręcznik, obznajmiający czytelnika z potrzebami do tego wiadomościami. Wspomniałszy sobie, jak u nas współka podobna rozbiła się o brak dobrych chęci, które mogły i powinny być mieć kobiety nasze, panie po dworach wiejskich, trzeba sobie powtórzyć na inaczaj smutną, jak poeta nutą: „U nas inaczaj, inaczaj, inaczaj...“ Ktoby chciał tłómaczyć nas klimatem, myli się, albowiem wszędzie tam, gdzie morwa może rosnąć pod gołym niebem, jedwabnik da się chodować i jedwab produkowanym być może.

Roczne sprawozdanie z ruchu czynności berlińskiej polikliniki dla kobiet, prowadzonej przez dwie doktorki, Dr Franciszkę Tibertius i Dr Ludwikę Lehmus, wykazuje fakta następujące: 1.593 osób szukało i otrzymało tam poradę lekarską, z których 370 już poprzednio leczyło się w tym zakładzie; nowych przybyło w ciągu roku 1.169. Poliklinika wspomnianych wyżej doktorek, otwartą jest od dnia 1 Czerwca 1877 roku, obecnie przybywa jej jako gałęź pomocnicza, stacya dla chorych: „Pflegestation“, gdzie chore będą z polikliniki odsyłane. Większość chorych otrzymała poradę lekarską bezpłatnie, opłata od innych chorych była bardzo umiarkowaną, znaczna ilość osób otrzymała wsparcie potrzebne dla odpowiedniego przeprowadzenia kuracji. Stan kasy zakładu wynosi po odciążeniu wszystkich wydatków 4.815 marek i 19 fenigów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Żelazo**

TREŚĆ. Teorya i praktyka w zawodzie nauczycielskim, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Felixa S*** — O przedłużeniu życia. — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a. — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Сентября 1882 года.